

1922

Przegląd Wileński

TYGODNIK SPOŁECZNO-POLITYCZNY I LITERACKI

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.

Czynne od g. 12—3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 7000 mk.

1/2 " — 3500 "

1/4 " — 1800 "

1/8 " — 1000 "

Z powodu okoliczności nieprzewidzianych numer obecny wychodzi z opóźnieniem i w zmniejszonej objętości.

Punkt wyjścia.

W związku z zarządzeniem wyborów do sejmu wileńskiego rząd litewski złożył w sejmie kowieńskim d. 17 grudnia ub. r. deklarację, protestującą przeciwko tym wyborom, oraz wyjaśniającą jego stanowisko w sprawie Wileńszczyzny wogóle.

W porównaniu do deklaracji wrześniowej z r. 1920, z którą rząd litewski wystąpił na posiedzeniu sejmu kowieńskiego po zajęciu Wilna, deklaracja obecna stanowi niewątpliwy postęp. Gdy ówczesna deklaracja traktowała Wileńszczyznę jako „wyzwolony z pod okupacji kraj, który będzie organizowany na zasadach wspólnych całemu państwu, na mocy praw Litewskiej Republiki Demokratycznej i na mocy rozporządzeń rządu” oraz zapowiadała, że „mieszkańcy będą powołani do organizowania swych potrzeb miejscowych przez wybrane w sposób demokratyczny organy samorządowe gminne, powiatowe i miejskie”, obecnie rząd litewski oświadcza, że Litwa Wschodnia (t. j. Litwa Środkowa czyli Wileńszczyzna) otrzyma swoją autonomję krajową ze swoim sejmem w Wilnie. Sejm autonomiczny w Wilnie będzie uchwalał własne ustawy w kwestjach używania języków miejscowych, szkół, wyznań i spraw kulturalnych i sądów krajowych, gospodarki lokalnej i wszystkich innych, które mu będą przez wspólny sejm państwowy zlecone. Różnica, jak widzimy, ogromna.

Czynniki miarodajne w Kownie uznały, wreszcie, że Wileńszczyzna w skutek szeregu przyczyn posiada odrębny charakter, inny niż terytorjum Litwy z bardziej zwartą ludnością litewską i że zapoznanie

tej indywidualności byłoby czczem doktrynerstwem, nie liczącem się z realnymi warunkami życia.

Dzięki temu znika najważniejszy szkopuł na drodze porozumienia pomiędzy Wilnem a Kownem, o który rozbiły się dotąd wszelkie próby znalezienia jakiegoś modus vivendi pomiędzy dwiema częściami jednego kraju. Pozostaje wprawdzie jeszcze szerokie pole do dyskusji na temat kompetencji wileńskiego sejmu autonomicznego i jego stosunku do sejmu ogólnopaństwowego, lecz są to już sprawy konkretne, które mogą być sprecyzowane dopiero w toku dyskusji—prędzej lub później nieuniknionej pomiędzy Wilnem a Kownem.

Aby znaleźć wszakże punkt wyjścia do tych pertraktacji, w obecnym stadium sprawy Wileńskiej niezmiernie trudnych do podjęcia — rząd litewski powinien uczynić jeszcze krok jeden i uzupełnić swą deklarację zasadniczą wyraźnym wskazaniem sposobu rozpoczęcia budowy tak skonstruowanego gmachu państwowego.

Deklaracja bowiem z d. 17 grudnia przedstawia w ogólnym zarysie ustrój państwa litewskiego już po przyłączeniu doń Wileńszczyzny. Jaką drogą zaś ma się dokonać to zespolenie — o tem deklaracja milczy. Nie jest to jednak kwestją podrzędną, związany z ową indywidualność Wileńszczyzny, stwierdzoną przez rząd litewski i zaakceptowaną przez sejm kowieński. Jeżeli trzeba się z nią liczyć w przyszłości, to tembardziej musi być uwzględnioną obecnie, gdy warunki zewnętrzne potęgują ją do wyższego stopnia nawet, niż z natury swej ma ona do tego prawo.

W sedno rzeczy utrafił poseł Kairys, podkreślając, że ludność Wileńszczyzny ma bezsprzeczne, przez nikogo nie kwestjonowane prawo wypowiedzenia się o przyszłości politycznej swego kraju i żądając w imieniu socjalnych demokratów litewskich, by ludność Wileńszczyzny miała możność ujawnienia swej woli swobodnie, bez żadnego skrepowania, bez żadnej presji postronnej. W tym celu winny być



utworzone w Wileńszczyźnie takie warunki życia politycznego, przy których agitacja we wszelkim kierunku mogłaby się szerzyć bez żadnych przeszkód, oraz ludności dano by dość czasu dla całkowitego uświadomienia sobie rozważanej kwestji.

Słowem tym tylko przyklasnąć można. Plebiscyt czy konstytuanta w tych warunkach będą istotnym wyrazem woli ludności, z drugiej zaś strony uczynią zadość niewątpliwej potrzebie uwzględnienia indywidualności Wileńszczyzny już przy kształtowaniu państwa litewskiego w jego naturalnych granicach, a nie dopiero po jego utworzeniu.

Przy rozbudzonej obecnie samowielży ludności Wileńszczyzny, wobec naturalnych, a po części rozdmuchanych ambicji obywatelskich i narodowych proste, mechaniczne przyłączenie Wileńszczyzny do istniejącej republiki litewskiej jest nie do pomyslenia. Gdyby nawet okoliczności pozwoliły na to, rezultat nie byłby trwały ani mocny. Dążenia odśrodkowe rozsądziłyby tak powierzchownie sklecony mechanizm. Zespolenie dwóch części winno być głębokie i tkwić korzeniami w świadomości jeśli nie całego, to w każdym razie znacznej części ogółu ludności. A ten wynik da się osiągnąć jedynie na podstawie zrozumienia wspólnego interesu, wiążącego w jedną organiczną całość dwie odseparowane dziś dzielnice.

Różnica języka i kultury tamuje niewątpliwie naturalny wśród dzieci jednej ziemi popęd do zbliżenia. Poczucie jedności narodowej może zastąpić z powodzeniem poczucie wspólnych interesów, ale by to poczucie rozbudzić i rozwinąć, należy dać możliwość ludności uświadomienia sobie płynących stąd korzyści i konieczności ustalenia warunków współżycia.

Konstytuanta w Wilnie, zwołana bez żadnego nacisku zewnętrznego przez czynniki bezstronne i nie zainteresowane, tej potrzebie czyni zadość.

Pominięcie tej kwestji, wogóle strony genetycznej, stanowi lukę w deklaracji rządu litewskiego, która winna być rychło uzupełnioną.

Naród „panujący” a narody „poddane”.

Było to w r. 1905 czy też w r. 1906, po wybuchu pierwszej kołowacizny czyli „świstoplaski” wszechrosyjskiej, wywołanej przez wojnę japońską, a będącej przygrywką do „wielkiej rewolucji rosyjskiej”, — t. j. do buntu zerwanych z łańcucha niewolników, pojmujących wolność jako możliwość tępienia wszystkich współmieszkańców i niszczenia wszystkiego, co się nawinie pod rękę. Zresztą najprawowitsze dziecko wszelkiej wojny, która również składa się tylko z tępienia i niszczenia. To też tem bardziej owa pierwsza kołowacizna, jako nieunikniony dalszy ciąg wojny, była chyba wystarczającym ostrzeżeniem przed nowymi eksperymentami na polu awantur wojennych nie tylko dla takiego matolka polityczne-

go jak Mikołaj II, ale także dla sędziwego „ojca” „moich ludów”, Franciszka Józefa, oraz dla takiego kaboty i linoskoka wszechświatowego, jak Wilhelm II. A jednak panowie ci nie byli w stanie zrozumieć tak jasnej dla każdego trzeźwo myślącego rzeczy, jak to, że, wywołując pożar wszechświatowy, podpalają oni przede wszystkim swe własne domostwa.

No, ale nie zabiegajmy naprzód. Wróćmy do r. 1905 i 1906. Już wówczas zarówno rozmaite wiatrem nadziane inteligenty, jako też rozmaite „czumazyje” Szczedryna, „barbarzyńcy” i „dzikusy” Hercena, „griaduszczyje chamy” Mereżkowskiego i różni „dyktatorowie od proletariatu” naradzali się poufnie i publicznie, jak prowadzić interes „ojczyzny”. t. j. „świętej Rusi”, panującej nad „inorodcami” na niezmiernych przestrzeniach od morza Bałtyckiego do Oceanu Spokojnego i od morza Czarnego do Oceanu Lodowatego.

Między innymi w jednym z domów na Newskim Prospekcie w Petersburgu toczyła się gorąca debata między „dwornikami” okolicznych domów i między innymi politykami tej samej miary i stopnia wykształcenia.

Cieszący się największą powagą „dwornik” wygłosił następującą rezolucję: „Studentom my cośkolwiek damy, bo oni nasi „ruskije”, ale Polakom nic nie damy, bo przecież to nasi poddani” („*wied’ oni nasi poddannyje*”).

I miał zupełną słuszność. Polacy i inni „inorodcy” państwa rosyjskiego byli tak samo poddanymi „dzierżawnawo russkawo naroda”, jak wszystkie narody państwa niemieckiego były poddanymi panującego narodu niemieckiego, jak wszystkie narody Węgier były poddanymi panującego narodu madziarskiego, jak wszystkie narody Włoch czyli Italji były poddanymi panującego narodu włoskiego, jak wszystkie narody Francji były poddanymi panującego narodu francuskiego, jak wszystkie narody całej kuli ziemskiej są w mniemaniu Anglików poddanymi przodującego im narodu angielskiego.

Rule, Britannia! (rządz i panuj, Brytanjo!)

British never shall be slaves! (Brytowie nigdy nie będą niewolnikami, ale za to ich poddanymi i niewolnikami będą wszystkie inne narody).

Do panowania nad innymi narodami roszczone sobie pretensje to w imię mniejszości kulturalnej i wyższą kulturę niosącej (kulturträger), to po prostu w imię większości:

Jako „wyżsi kulturą”, panowali Łotyszom i Estończykom Niemcy nadbałtyccy, Polakom, Litwinom i innym Niemcy pruscy, Litwinom, Białorusom i Ukraińcom Polacy, a nawet Madziarzy wszystkim innym ludom korony św. Stefana.

Dla usprawiedliwienia tego panowania i ucisku narodowościowego wymyślono „teorię” tak zwanych „minderwertige Nationalitäten” (narodowości mniej cenne).

Rosjanie czyli Wielkorusi również powoływali się na swą wyższość kulturalną, chociaż wogóle wystarczała im ich liczebność. „Szapkami zakidajem” (czapkami zarzucimy) — stanowiło ich dumę i prawo do panowania nad „inorodcami”.

Kierując się poczuciem swej przewagi liczebnej, Wielkorusi wyzywali do walki i prowokowali cały świat, uważali Moskwę za trzeci Rzym, przeznaczony do panowania nad światem, marzyli o zawładnięciu Konstantynopolem i o zaludnieniu go czynownikami rosyjskimi, a na początku ostatniej wojny inteligenci rosyjscy byli dumni z tego, że się zrodził prawdziwy

„patriotyzm rosyjski“, niektórzy zaś profesorowie rosyjscy nie posiadali się z radości, że dostaną cztery nowe uniwersytety rosyjskie: w Czerniowcach, we Lwowie, w Krakowie i w Kenigsbergu (czyli w Królewcu).

Okrutna rzeczywistość rozwiła te słodkie marzenia, a brutalne traktowanie „inorodców“ sprawiło to, że kto tylko mógł, starał się oderwać od tego potwora państwowego i stworzyć sobie osobne państwo. To rozpnięcie państwa carów bardzo trafnie charakteryzuje wiersz Edwarda Słońskiego

„DO ROSJI“.

„Wielkaś ty była i ciemna,
W mrokach gubiłaś swe kształty —
Od Sachalina do Nien na,
Od Archangielska do Jalty.

Biednaś ty była i bosa,
I głodna na czarnej ziemi,
Choć olśniewałaś niebiosą
Cerkwiami złotogłowemi.

Od posad tobą do powal
Trząśł Stieńka Riazin z Jermakiem,
Piotr Wielki ciebie budował,
Swym carskim zbijał kulakiem.
Trzeszczały lby pod razami,
Chyliły się aż do ziemi...
— Zmiłuj się, zmiłuj nad nami,
Rabami twemi grzesznemi.

Walilaś w cerkwiach poklony,
Kulaś kajdany i kraty,
Batał smagałaś dzwony,
Na Sybir wlokłaś armaty.

I rosłaś tak, rosłaś ciemna,
Zakuta, zakratowana,
Uboga i czarnoziemna,
Modląca się, a pijana...

Dziś ty nie ta, choć ta sama,
Jednaka czynów twych miara, —
Car w turmach niewolił chama,
Cham załukł kolbami cara.

I dziś ty bez cara carska
I ciemna, tak samo ciemna,
Ziemio słowiańsko-tatarska
Od Sachalina do Niemna“.

Taki to był smutny koniec megalomanji rosyjskiej. Podobny, choć już nie tak okrutny los spotkał megalomanję austriacko-węgierską i niemiecką. Nie wyleczyło to jednak innych z tej zaraźliwej, epidemicznej, po całym świecie rozpowszechnionej choroby.

Nawiasem mówiąc, są państwa wolne od tej samobójczej choroby. Albo przebywały ją dawniej, albo też jej wcale nie przebywały. Z jednej strony mamy państwa skadynawskie, Szwecję, Norwegję i Danję, mamy Holandję, z drugiej zaś strony Szwajcarję i Belgję.

Ale nowopowstałe na gruzach Rosji i Austro-Węgier państwa przeważnie kontynuują ową zgubną i bezsensowną politykę panowania jednego narodu nad innymi. Podobne zachcianki stwierdzamy u Czechów, u Serbów, u Greków i t. d.

Przoduje zaś im wszystkim słoneczną Italję. Od samego początku swego zjednoczenia i wyodrębnionego bytu państwowego stała się ona jednym z najmniejbezpieczniejszych gniazd zbójceckich, przez swą *irredentę* zagrażających pokojowi świata i pomnażających liczbę bestyj apokaliptycznych w menażerji wszechświatowej. Wkrótce zaś po wybuchu wojny wszechświatowej zwąchała pismo nosem, wyczuła po czyjej stronie będzie przewaga i, odstąpiwszy swych dotychczasowych sprzymierzeńców, wypowiedziała im wojnę.

Wkrótce rozległy się ryki bestji apokaliptycznej: *Tu regina sei del mar* (ty jesteś królową morza), a więc powinnaś panować niepodzielnie, jeżeli nie nad całym morzem Śródziemnym, to przynajmniej nad całym morzem Adriatyckim, od którego wara innym państwom i narodom. I Słowianie, i Albańczycy i inni—to tylko poddani przodującego kulturą narodu włoskiego. Całe pobraże morza Adriatyckiego powinno do ciebie należeć.

Po powaleniu zaś państw centralnych i przy zawieraniu pokoju słodka Italja zagarnęła ziemię, które jej się nie należały z żadnego stanowiska, ani ze stanowiska etnografji, ani ze stanowiska historii, ani ze względów ekonomicznych i gospodarczych. Co więcej, ludność tych ziem nienawidzi Włochów, o ile chcą panować nad niemi. Zabór więc tych obcych ziem daje się usprawiedliwiać jedynie zastosowaniem przemocy i gwałtu, zastosowaniem zasad zbójceckich i bandyckich. Potrzeba Włochom granic wojennych,—i to ostatecznie rozstrzyga. A więc sła brutalna, wyszczerzone kły dzikiej świni.

Traktowanie innych narodów przez Italję najlepiej charakteryzuje ostatnia awantura w Sebenico. Italja wystosowała do rządów Jugosławji żądanie, przypominające prowokacyjne *ultimatum* zniedołęźnialego Franciszka Józefa w r. 1914, zwrócone do rządu Serbskiego. Czy istotnie Italja pożąda wojny? Miejmy nadzieję, że te jej zapędy zostaną okiełznane przez bardziej rozsądne państwa.

Ale opuśmy słoneczną i kwiecistą Italję i zwróćmy oczy na bliską nam Polskę.

Otóż Polska prawie wcale nie skorzystała ze smutnych doświadczeń Rosji, Niemiec i Austro-Węgier, a zwłaszcza Węgier, i uprawia za ich przykładem politykę uważania jednej narodowości za panującą, a innych za poddane i niewolne.

Narodowość polska to narodowość panująca, której powinny ulegać inne narodowości drugorzędne (*minderwertige Nationalitäten*). I Ukraińcy, i Białorusi, i Litwini, i Niemcy, i Żydzi—to tylko poddani Polaków. Wprawdzie konstytucja głosi równouprawnienie, ale konstytucja swoją drogą, a zwyczaj i praktyka swoją drogą.

Gdyby nie wojna, Ukraińcy posiadaliby już własny uniwersytet we Lwowie, otworzony przez rząd austriacki. Polacy jak gdyby zapomnieli o tym obowiązku. Czesi otwierają uniwersytet Ukraiński w Pradze, Polacy czasem coś przebakują, twierdząc jednakże, że Hryćkom i kozaczkom wystarczy uniwersytet w Stanisławowie, w Kołomyi, w Śniatynie, lub Kosowie, ale w żaden sposób nie wolno dawać tej narodowości drugorzędnej uniwersytetu we Lwowie, lub w jakim innym większym mieście.

Istniejące za czasów austriackich godła i napisy ukraińskie skrzętnie pousuwano, ażeby Galicja wschodnia robiła na oko wrażenie kraju rdzennie polskiego, który, wbrew historii i etnografji, przezwano „Małopolską wschodnią“, przypominającą „Südpreussen“ i „Priwislinskij Kraj“.

Podobnież Białorus próbowano przechrzcić na Białopolskę.

Gorliwi nad miarę „patrijoci“ niszczą, o ile mogą ślady obcej kultury, nie tylko innoplemiennej, ale także wszechludzkiej. W jednym z miast na Pomorzu usunięto ulicę Goethego i Schillera, zastępując je ulicami Paderewskiego i 17-go marca, czy coś w tym rodzaju. Wszystko to słodkie wspomnienia gospodarki rusyfikatorskiej i hakatystycznej na ziemiach polskich.

Również w sprawie przyłączenia Wilna do Polski popełniono cały szereg błędów nacjonalistycznych, robiąc sobie dokoła wrogów, wrogów państwowości polskiej. Dowód to ciasnoty pojęć, zaściankowości i buty szlacheckiej z czasów, kiedy to szlachcic na zagrodzie, równy wojewodzie, panował nad chłopem i przewodził Żydowi i Niemcowi.

Nie robię z tego nikomu zarzutu, a tylko konstatuje fakt, fakt niepożądany.

Sądzę, że zarówno u Polaków, jak i u innych narodów obłęd ten przejdzie, że wyleczą się one z niego pod wpływem lekcji, udzielonych przez sam przebieg zdarzeń, a więc lekcji, nierównie wymowniejszych od wszelkich odczytów i wykładów.

Te objawy buty wielkopańskiej i buńczuczności są tem znamienniejsze, że nie tak dawno lasiło się i lizało łapę wspaniałomyślnego wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza, obiecującego co najwyższej skromną autonomję w obrębie niepodzielnego imperjum rosyjskiego.

Nie zapominajmy też o braku poczucia godności osobistej i narodowej w tych wypadkach, kiedy wygląda się z utęsknieniem i przyjmuje się z wdzięcznością laskawe słowa, wypisane o Polsce w jednym z „organów opinii publicznej“ przez pierwszego lepszego pismaka zachodnio-europejskiego.

Brak więc tu zarówno poczucia własnej godności osobistej i narodowej, jak też poszanowania dla godności ludzkiej i narodowej innych narodów, uważanych za poddane narodowi polskiemu.

Traktowanie innych narodów, mieszkających w granicach państwa polskiego, jako narodowości podrzędnych (*minderwertige Nationalitäten*), poddanych narodowi polskiemu, patrzenie na siebie jako na gospodarzy i właścicieli kraju, a na inne narodowości czyli na tak zwane „mniejszości“ jako na łaskawie tolerowanych gości jest objawem polityki krótkowzrocznej, nierozsądnej i samobójczej.

Jedynie możliwą i zbawienną polityką jest stanie na stanowisku bezwzględnej, absolutnej równouprawnienia nie tylko wszystkich pojedynczych obywateli, ale także wszelkich ugrupowań i zbiorowisk ludzkich, zarówno wyznaniowych, z bezwyznaniowością włącznie, jako też narodowych i wszelkich innych.

J. Baudouin de Courtenay.

Czy są dziś czyste typy narodowe?

Czem jest genealogja w życiu człowieka prywatnego, tem badania nad przeszłością dla narodu. Genealogja rodu i narodu jest gałęzią wiedzy, nauką ważną, pożyteczną, a ciekawą. Ale dostojeństwo nauki jakże często niepomierne obniżaniem bywa, przez nierzadkie próby ubrania potocznych zacierzawionych sądów w szaty pseudo-naukowe! W kampanji prasowej i wiecowej padają nieraz zdania, odsądzające jakiś naród od *pur sang*. Nieraz np. polska prasa nacjonalistyczna znajdowała upodobanie w twierdzeniu, że *nie* istnieje czysty typ Wielkorusina, a mamy do czynienia z jakimś wynikiem krzyżowania się szczepów wschodnio-słowiańskich z mongolско-fińskimi. Zdarzali się też publicyści, którzy zbyt skorzy byli krewkość ukraińską przypisywać domieszce krwi innoplemiennych sąsiadów, z jakimi Ukraińcy się stykali. Brak czystej krwi stanowi wreszcie

dość oklepany zarzut, wysuwany tu i owdzie przeciw Litwinom, a prawie pospolicie i już bez zastrzeżeń — przeciw Białorusinom-katolikom.

Co mamy o tem sądzić?

Jakkolwiek określanie czystości typu narodowego stanowi tylko dla nauki poważnej temat adekwatny i bardzo wdzięczny, w praktyce bytowania narodowego doprawdy ta kwestja jest *zgoła* pozbawioną znaczenia. Przecie donkiszoterją byłoby mniemać, iż zarzut nawet ze strony politykujących uczonych, dotyczący braków czystości rasowej jakiegoś narodu, zdoła zawrócić go z raz obranej drogi do niepodległości, lub przynajmniej skutecznie powstrzyma go w pędzie odrodzeńczym. Rumuni, przedstawiający dziwnie różnorodny amalgamat, nie zrękną się mimo to swych aspiracji narodowych i politycznych i wolą chyba pozostać przy swojej rumuńskiej, acz nie czystej co do krwi narodowości, niż przyjąć taką od swych sąsiadów, dufnie szczyjących się posiadaniem czystego typu narodowego.

Polemika, pod hasłem powyższem prowadzona, jest jałową jeszcze z tego względu, że rykoszetem stawia przed samym sędzią pytanie: a czy naród, do którego ty należysz, ma taką już pewność co do czystości swej krwi? Rzecz pewna, że naród polski, który wchłonał tyle pierwiastków etnicznych ruskich, niemieckich, litewskich, ormiańskich, tatarskich i in., ściśle rzecz biorąc nie może być wcale uważany dziś za *pur sang* lechicki, piastowy!... Jest on konglomeratem takim samym, jak niemal każdy inny, np. francuski (domieszka krwi germańskiej, hiszpańskiej, normañskiej...), niemiecki (domieszka krwi litewskiej, słowiańskiej, flamandzkiej...) i inne, by nie mnożyć przykładów. *Czystych więc typów narodowych niemasz dziś na świecie*. Uczni badają tylko stopień tej czystości i to — ich prawo i zadanie.

Może to upokarza kogoś, kto by chciał posiadać błogie przekonanie o swej wyłącznej czystości i wyższości rasowej i z poczuciem dumy móc powiedzieć o sobie: *bon sang ne peut mentir*, jednak dzieje ludzkości zgotowały wszystkim narodom podobne „upokorzenie“, że *żaden* z nich twierdzić tego o sobie nie może.

Lecz czy faktycznie świadomość takiego stanu rzeczy może upokarzać człowieka rozumnego? Czy ubliża nam, że w żyłach naszych płynie, obok krwi przodków rasowych w linii prostej, również krew pobratymców, narodów sąsiednich, lub chociażby dalszych, lecz będących także członkami wspólnej rodziny ludów?! Rozumnego człowieka może to tylko cieszyć, a dla ogółu winno być jeszcze jedną racją, przemawiającą za braterstwem wszystkich ludów.

Sonderling.

WOLNA TRYBUNA.

Zadania katolicyzmu na t. zw. kresach.

„Propaganda katolicyzmu na kresach naszych i w Rosji nie powinna być narzędziem polonizacji“.
Arcybiskup Ropp.

W chwili, gdy katolicyzm stał się u nas niejako doktryną polityczną, pośród iście straszliwego rozgwaru, jaki zapanował w całym kraju dzięki rzucającemu się kleru naszego w odmęty walk przedwyborczych, podczas niesmacznej farsy odgrywanej przez

eneków znowu ze starszkiem arcybiskupem Hryniewieckim, dochodzi nas z Warszawy mądry głos sędziwego arcybiskupa Roppa, człowieka ciałem i duszą zrosłego z t. zw. kresami. W wywiadzie udzielonym „Tygodniowi Polskiemu” w Warszawie, były biskup wileński podkreśla, jaki charakter powinien posiadać katolicyzm w naszym kraju.

Otóż w swym bycie, życiu i pracy nie ma on służyć za narzędzie polonizacji, jak to widzimy dziś jeszcze. Stwierdzenie faktu powyższego przez arcybiskupa przychodzi dosyć późno — wolelibyśmy usłyszeć je dużo wcześniej. Utożsamianie katolicyzmu z polskością niewątpliwie przyniosło Polsce olbrzymie, wprost nieobliczalne korzyści, Kościołowi zaś wyrządziło również olbrzymie straty, pozbawiając go wprost nieobliczalnych możliwości rozszerzenia się.

Prawosławie, występując do walki z katolicyzmem, acz bezwiednie i wbrew swej woli, było wodą na młyn polski: swą agresywnością zwykle bezskuteczną, jeśli tylko knut nie był użyty, nierównie *więcej* przynosiło ono zysku liczebnego polskości niż szkody, Polska tak się z tem żyła, zwykła, że dziś za nic w świecie nie zechce zmienić punktu widzenia na wzajemny stosunek katolicyzmu i polskości. I nic w tem dziwnego. Któż bowiem chętnie się zrzeka rentownego interesu, wygodnej dla siebie teorii?!... Egoistyczne politycznie stanowisko Polski doskonale tu rozumiemy. Bardziej zato trudnem do zrozumienia jest, że liczni dziś słudzy ołtarza z gorliwością nadzwyczajną co sił pracują jeszcze na rzecz poczętej w egoizmie pogańskim doktryny politycznej, chcącej Polskę, mimo 1/3 mieszkańców narodowości niepolskiej, uczynić państwem narodowcem, a nie narodowościowem!

Brutalnym tego przejawem jest broszura p. t. *Prawa parafjan w kościołach na kresach*, wydana urzędowo od *Koła Kapłanów-Pośłów Sejmu Ustawodawczego*, właściwie zaś będąca majstersztykiem pośła ks. St. Maciejewicza. Aprobata konsystorza warszawskiego (wiemy o roli konsystorza węgierskich w mądziaryzacji Chorwacji) nie zmienia wcale tego faktu, że *istotnym* celem tego księżego elaboratu jest zachowanie *status quo ante* na t. zw. kresach, czyli dalsze, a konsenkwentniejsze jeszcze polonizowanie ludności tamecznej przez Kościół. Podobno ludzie, w których żyłach płynie niejedna kropla krwi białoruskiej i unickiej odznaczają się zapalem wyjątkowym w tępieniu... białoruszczyzny i gaszeniem tradycji... Unji. Co prawda jeśli arcybiskup ormiański Teodorowicz publicznie w sejmie cieszył się z porzucenia przez rząd wspomaganie Białorusinów na drodze ku urzeczywistnieniu ich ideałów, czegoż się spodziewać można od ks. St. Maciejewicza?! *Non est discipulus supra magistrum.*

Ze smutkiem wypada na podstawie tego stwierdzić, że przeciętny kapłan polski szczyptę ducha apostołskiego okazuje tylko wtedy, gdy widzi gdzieś możliwość spolszczenia kogoś, natomiast ciemnota rekordowa ludu „kresowego” i wyczekiwanie przezeń jasnych zórz odrodzenia niewiele, — jeśli nic całkiem go nie obchodzą.

Tembardziej życzyć należy, by iście katolicki, szlachetny, a mądry głos arcybiskupa Roppa rozległ się po całych t. zw. kresach, wzmacniając gasnącą dziś tam wiarę w to, że kler polski jednak składa się nie z samych księży Maciejewiczów.

Erka.

Wilno jako „rozdroże ludów”.

Tak nazwał niedawno nasze miasto zbliżony do sfer endeckich i przez nie urabiany „*Journal de Pologne*”. Snadź dziennik francuski w Warszawie, mimo swych doradców lub nawet wbrew nim, umiał odczuć rytm zasadniczy życia naszego grodu, jego fizjognomję i psyche. Ta przenikliwość i trafność sądu w organie, prowadzonym przez obcych, jest istotnie godną uwagi. Głębokości jego wejrzenia w księgę przeszłości Wilna nie może dorównać druga nazwa *Fiume polskie*, świeżo naszemu miastu nadana przez p. Attilio Begey w jednym odczycie wygłoszonym w jego włoskiej ojczyźnie. Jak widać, umysłowość zachodnio europejska lubi wyrażać krótko a zwięźle swą opinię o Wilnie.

Doskonały komentarz do Wilna *rozdroża ludów* podaje Kraszewski, ten świetny znawca przeszłości i dawnego życia naszego grodu. Przytaczając poniżej wstęp z jego dzieła o Wilnie, pozwolimy sobie podkreślić w nim kilka miejsc, które szczególnie uwykuplają prawdziwy charakter Wilna. Mówiąc o czasach Zygmunta Augusta, Kraszewski barwnie kreśli obraz stolicy Litwy temi słowy:

„Zapewne nie miało jeszcze Wilno wykwiłtnej systematyczności nowych stolic, pod sznur i cyrkiel wykreślonych, ani regularnej architektury palladów, ani mądrze odkrytych i pozasłanianych widoków, ani jednostajnej ludności i jednostajnie bladego pozoru; przeciwnie, było piękne swoją *rozmaitością charakterystyczną*, przedstawiającą całe dzieje tego miasta, historję jego wzrostu i powstania..

W samym mieście nadawała życie liczna i urozmaicona ludność, której ubiory, postaci, język, *tysiąc* sprzeczności z sobą stanowiły i zajmowały oko. Mnichy, żołnierze, kopniki, pachołcy, konie, powozy, lekyki skórzane mieszczan, kolebki złożone panów, mieszały się i mijały. Wspaniałe obrzędy duchowieństwa, poważne uroczystości cechowe, wszystko godnem było widzenia... Warto i stokroć warto było przypatrzeć się temu obrazowi, tak dziwnacznie z *tyłu* pierniastków sklejonemu, licznym zakonnikom, migającym się po ulicach, czerńcom brodatym w kołpakach, białym dominikanom, karmelitom, bernardynom i skromnym pastorom, i poważnemu molnie, i mnichom i mniszkom wszelkiej barwy i rodzaju. Warto było widzieć w obrębie jednego miasta *wszystkich* wiar kościoły, cerkwie, klasztory, monastery, obok zborów ewangelickich, obok tajemniczych bożnic zwingljan i nowochrzcęńców, bożnice żydowskie i meczet tatarski, polyskujący księżycem... Wszystko to, nawet poważne a śmieszne mustry cechowe i procesje rzemieślnicze, i osobliwsze stroje żydów i żydówek, długie zastony i bogate zawoje, i azjatyckie postaci tureckich kupców, i poważne rusinów brody i smakowny przepych królewskiego dworu, — wszystko to składało całość wyłączną i Wilnu tylko właściwą, bo rozsypane po świecie, nigdzie się w tak osobliwą całość nie zlało... Ludność, budowy, stroje, nosiły na sobie cechy tej *normalnej rozmaitości*; widać było, że się tu zbiegli zdaleka mieszkańcy, i że cegłę na kościoły niegdyś przywożono od obcych.

Nic nie było rodzinnego, chyba góry, osłaniające to miasto, wszystko zmieszane, złożone z różnorodnych pierwiastków, różnej barwy, różnego pochodzenia, pół azjatyckiego, pół zachodniego. Z jednej strony góry, pokryte lasem, tam dolina, tam parów, tam rzeki, tam piaski, tu pałace, tam drewniane chatki

rozsypane szeroko, kramy i kościoły, szynki i klasztory, jatki i ratusz, bożnica i meczet; sabat, ramazan i Boże Ciało, zbory ewangelików i mury panien zakonnych; ubodzy bez chleba i bogaci, jak króle; bezbożni i fanatycy, bluźniercy i penitenci; niemcy z turkami w jednej gospodzie, lachy z tatarami, rusini z włochami, — wszystko się w Wilnie ścierało, zbliżało, graniczyło z sobą i żyło, jeśli nie w zgodzie, bo w takim mieście zgoda była przeciwna naturze, to przynajmniej w tym stanie pół pokoju, pół wojny, z orężem u boku i ukłonem niskim, w niedowierzaniu a pozornej grzeczności, co tyle życiu dodaje zajęcia“...

Takiem Wilno zastał Zygmunt-August, takimże je zostawił. Tego różnorodnego charakteru bynajmniej nie utraciło Wilno po śmierci ostatniego Jagiellona i dziś najoczywiściej go posiada. Prawda, nie widać dziś na ulicach Wilna kapników i pacholków, lektyki i kolebek, niemasz w niem zwingljan i nowochrześciców, Żydzi i żydówki już nie noszą, u nas swych zasłon i zawojów, a Turcy i Włosi są tu bardzo nieliczni, — ale przecie są to wszystko nie istotne i wprost nieznaczące zmiany! Tymczasem owa *normalna rozmaitość*, którą za zasadniczą cechę Wilna uważa Kraszewski, stoi murowana a niewzruszona po dziś dzień. I póki Wilno będzie sobą, póty nosić będzie ono na sobie wypisane rylcem dziejów znamiona *rozdroża ludów*. Tylko ręka bezbożna a niemądra targnąć się może na świętokradzką niejako próbę zdzierania tych stygmatów, znaczących oblicze duchowe naszego miasta.

Z mego notatnika.

Uświadomienie czy ciemnota?

Jak było do przewidzenia, w Wilnie zwyciężyła ogromną większością głosów lista № 3. Powtórzyło się to samo, co podczas wyborów do 3 i 4-tej Dumy. Tłum wileński ławą szedł głosować na kandydatów, popieranych przez większość kleru. Endecja oczywiście będzie tłumaczyła wynik wyborów jako dowód wysokiego uświadomienia narodowego i patriotyzmu ludności wileńskiej, bezstronny wszakże obserwator będzie w nim widział jedynie objaw ciemnoty.

Ze nie hasło „do Polski“ przeważało w danym wypadku, najlepszy dowód stanowi porażka listy № 2. Trudno wszakże o bardziej fanatycznego zwolennika inkorporacji Wileńszczyzny do Polski, niż p. Studnicki. Utworzył on przeciw specyficzny „Związek obrony woli ludności należenia do Polski“, agitował niez mordowanie, urządzał tłumne wiece i demonstracje — zdawałoby się, że całe polskie Wilno za niem pójdzie — i w rezultacie jego lista nie uzyskała ani jednego posła.

Jeżeli zaś endecja tak była pewna popularności hasła „wcieleniowych“, to pocóż umieściła na pierwszym miejscu swej listy — arcybiskupa, którego nazwisko miało odegrać jedynie rolę wabika dla dewotek, boć przecie o czynnym udziale niedołęznego starca w pracach sejmowych nie może być mowy?

Duchowieństwo z ambon nawoływało do głosowania na listę endecką, tak jak swego czasu agitowało usilnie za kandydaturą ks. Maciejewicza,

i pobożne owieczki wykonały posłusznie polecenie swych duszpasterzy.

Oto cała tajemnica powodzenia P. C. K. W.

Ciemnota jeszcze raz zwyciężyła i będzie zresztą odnosiła zwycięstwo tak długo, dopóki kler wileński nie wzniesie się sam na wyższy poziom moralny i umysłowy.

Pytanie zamiast odpowiedzi.

Zapytuje „Rzeczypospolita“ nas co to jest Litwa? Jakie są jej granice? Jakie terytorjum ma na myśli „Przegląd Wileński“ broniąc jego niepodzielności?

Na pytanie pozwolę sobie odpowiedzieć pytaniem. A co to jest Polska? Jakie są jej granice? Jakie terytorjum miała na myśli endecja wystawiając hasło zjednoczenia ziem polskich pod berłem Mikołaja II i jakie terytorjum ma na myśli obecnie, gdy Polska odzyskała byt niepodległy?

Obszar etnograficznie polski? Ale przecież ani Galicja Wschodnia ani Wołyń ani Polesie ani Białoruś nie są to ziemie, zamieszkałe w większości przez ludność polską? Obszar historyczny przedrozbiorowy? Ani Śląsk ani Gdańsk nie wchodziły wcale w obręb Rzeczypospolitej Polskiej przedrozbiorowej, a znów do byłych województw Mścisławskiego, Witebskiego, Połockiego, Mińskiego, Kijowskiego, Podolskiego, Braclawskiego i t. d. dziś nie rości sobie żadnych pretensyj nikt w Polsce prócz garstki emigrantów obszarników.

Więc jakie są granice Polski, nie te przypadkowe, wytworzone przez traktaty Wersalski i Ryski, ale idealne, których domagać się i bronić będzie każdy prawy syn ojczyzny?

Gdy mi p.p. Obst i Kotwica odpowiedzą na to pytanie, postaram się i ja zaspokoić ich ciekawość co do mego poglądu na granice Litwy.

Bo co to jest Litwa pod względem geograficznym, o tem poinformuje ich każda encyklopedia.

Licz.

Sprawa Wileńszczyzny na gruncie międzynarodowym.

Wybory do Sejmu Wileńskiego nabrały szerokiego rozgłosu w całej Europie. Nie mamy żadnej autentycznej wiadomości, jak się zapatrują decydujące czynniki w polityce międzynarodowej t. j. Anglja i Francja na kwestję uznania tego Sejmu. Rozważny „Czas“ krakowski snuje na ten temat następujące refleksje:

„Z poważnych źródeł miały wprawdzie niektóre dzienniki, między innymi i „Czas“, informację, że rządy obu mocarstw będą może skłonne uznać wynik konsultacji, ale nie we wszystkich wypadkach: sprzeciwia się mianowicie, gdyby zapadła uchwała co do prostej inkorporacji (i natychmiastowego rozwiązania sejmu wileńskiego). Będą natomiast skłonne traktować z nami o przyłączenie Litwy do Polski, o ileby uchwała sejmu stwarzała z Litwy pewnego rodzaju fragment państwowy. Motywy prawdopodobne, jakie mocarstwami kierują, staraliśmy się już poprzednio wyjaśnić. Inne jednak motywy, jak twierdzi „na zasadzie źródłowej“, podaje w „Ill. Kur. Codz.“

p. Bazylewski w № 855. Wedle jego przedstawienia rządu francuski i angielski dążą do wyzwolenia Litwy Kowieńskiej z pod wpływów niemieckich — jedynym do tego sposobem jest zespolenie jej z Polską. Zespolenie to może nastąpić tylko wtedy — zdaniem Francji — jeśli sejm wileński będzie miał charakter konstytuancy, a konstytuanta ta uchwali takie rozwiązanie, aby nie zamknąć na przyszłość drogi połączenia Litwy kowieńskiej z wileńską. „Rząd francuski — pisze p. Bazylewski — oczekuje przeto, że gdyby nawet sejm wileński proklamował wcielenie terenu swego do Rzeczypospolitej, rząd polski uchwałę taką wykona w sensie federacyjnym, lub conajmniej autonomicznym, ażeby przez to umożliwić dalsze rokowania z rządem kowieńskim. Rząd francuski zaznaczył w końcu z całym naciskiem, że poparcia swego Polsce w sprawie wileńskiej będzie mógł użyczyć wobec Anglii i Ligi Narodów tylko wtedy, jeżeli rząd polski zaakceptuje stanowisko wyłuszczone i potrafi je w czyn wcielić“.

Wszystkim informacjom tego rodzaju zaprzeczyła „Rzeczpospolita“ jako zupełnie fałszywym, a w jednym z ostatnich numerów wyrysowała nawet wspaniałego rycerza, kłusującego w zbroi i szyszaku z Wilna „do Polski“ z uczepioną u jego ogoną pokraką w czapce legionisty i z napisem „federalizm“. Oczywiście nie oznacza to „Sprzymierzonych“. Komentarzem do tego pięknego rysunku jest artykuł „Rzeczypospolitej“, w którym czytamy następujące kategoryczne twierdzenia (zaprzeczające, co prawda, między innymi takie rzeczy, których w żadnym dzienniku nie spotykaliśmy):

„Twierdzenia o rzekomem dążeniu Francji do przyznania Wilna Litwie Kowieńskiej, o wiazaniu sprawy Wilna ze sprawą Lwowa, o uzależnieniu uznania traktatu ryskiego od oddania przez Polskę Wilna Litwie kowieńskiej, są wymysłem bez żadnych podstaw, bo spokojne rady Francji niczego podobnego nie zawierają. Jest to tylko dalszy dowód, że naci federaliści nie próżnują i starają się nieprawdziwymi wiadomościami wywrzeć wpływ na nastrój ludności w Wileńszczyźnie w okresie wyborów, a podsuwając te wymysły lichy rozumiejącym się w tych sprawach dziennikarzom, którzy lekkomyślnie puszczają w świat osłabiające nas zarówno wobec Litwy kowieńskiej, jak wobec Ukraińców, zmyślane twierdzenia“.

Jak dotąd, sprawa jest jasna. Wiadomości o nacisku Francji i Anglii są — jak twierdzi „Rzplta“ — kłamliwe, a wymyślają je federaliści. Francja daje co najwyżej „spokojne rady“ — nie wiadomo, jakiej treści. Tę samą taktykę widzieliśmy zresztą w sprawie Lidy i Braśławia, dopokąd prezydent gabinetu nie stwierdził na posiedzeniu sejmowem faktu, że względy międzynarodowe czynią włączenie obu powiatów do konsultacji rzeczą konieczną — i sejm za tem zdaniem się oświadczył. Tylko, że obecnie kwestja względów międzynarodowych występuje o wiele wcześniej i w formie o wiele ostrzejszej, aniżeli co do włączenia Lidy i Braśławia. Kategorycznym twierdzeniom i insynuacjom „Rzeczpltej“ przedstawia się zresztą dzisiaj bardzo charakterystyczna informacja ze strony narodowo-demokratycznej, bynajmniej o federalizm i „lokajstwo belwederskie“ chyba nie podejrzaney. Mianowicie korespondent „Gazety Warsz.“ p. Kaz. Smogorzewski donosi z Paryża w sposób bardzo niedwuznaczny o intencjach Anglii i Francji, co następuje:

„Jeszcze kilka tygodni temu naszemu posłowi londyńskiemu oświadczone w „Foreign Officen, że „rząd angielski nie może uznać żadnych wyborów na terenie Wileńszczyzny“. Ale w obecnym stanie rzeczy W. Brytanja pozostawia nam w pewnym stopniu wolną rękę dla przeprowadzenia wyborów i zwolania sejmu orzekającego. Protest formalny może się zjawić ze strony W. Brytanji, lub Ligi narodów dopiero po ogłoszeniu przez sejm orzekający sposobu przyłączenia Wileńszczyzny do Polski. Nie zdaje się ulegać wątpliwości, że zwykła inkorporacja protest taki wywołałaby niechybnie.“

Co do stanowiska Francji, to jest ono w całym tego słowa znaczeniu lojalnem. Nie należy tego rozumieć, że Francja poprze każdą ewentualną decyzję sejmu wileńskiego. Opinia Francji co do sposobu rozwiązania zatargu polsko-litewskiego jest nam wszystkim znana: jest to federalizm. Nie karykatura federalizmu z drugiego projektu p. Hymansa, ale mocny federalizm ze wspólną armją, wspólną polityką zagraniczną i unją celną“.

Wiadomość powyższa, podana tym razem na szpaltach urzędowego organu narodowej demokracji, a zaczerpnięta w sferach poselstwa polskiego w Paryżu, reprezentowanego mianowicie przez członka, tak blisko z p. Dmowskim, związanego, jak hr. Zamoycki, będzie bardzo ciężka do napiętnowania, jako wymysł, lekkomyślność, złe orjentowanie się dziennikarza etc. Potwierdza ta informacja wiadomości dotychczasowe, że Francja daje rady, niewątpliwie spokojne, ale bardzo stanowcze w duchu tym, który narodowa demokracja nazywa „federalizmem“ t.j. w duchu przyznania Litwie (wileńskiej) autonomji i nie rozwiązywania konstytuancy“.

* * *

„Times“ z dnia 31 grudnia r. z. pisze w tonie inspirowanego komunikatu:

„Propozycja p. Hymansa załatwienia sporu wileńskiego przez zaprowadzenie konstytucji federalnej na modłę szwajcarską odrzucona została przez Litwę, gdzie widocznie panuje obawa, że sejm wileński oświadczy się za przyłączeniem do Polski przy obecnych wyborach, mających się odbyć pod wpływem sił zbrojnych Żeligowskiego.“

„W dobrze poinformowanych kołach panuje przekonanie, że zarówno Francja jak Anglja ubolewałyby głęboko nad aktem tak nierozważnym (precipitate), który przypominałby coup d'Annunzia we Fiume. Każda tego rodzaju akcja sejmu o tak wątpliwym, jak wileński, charakterze, wprowadziłaby rząd polski w bardzo fałszywą pozycję względem Ligi Narodów i względem tego rządu przyjaciół w Zachodniej Europie“.

* * *

Stanowisko Koalicji wobec sprawy Wileńszczyzny najlepiej dałoby się wyrozumieć z listu Brianda do ambasadora francuskiego w Warszawie, o którym przedostały się wiadomości do prasy. Niestety list ten stanowi tajemnicę nie tylko dla opinii publicznej, lecz bodaj nawet dla komisji do spraw zagranicznych sejmu warszawskiego.

A szkoda, bo podobno list premiera francuskiego jest bardzo stanowczy i wyraźny.

Bibliografia.

Henryk Mościcki. — *Wilno*. Fotografje J. Bułhaka. Warszawa 1922.

W grudniu r. ub. na wystawach księgarskich w Wilnie ukazała się niewielka wytworna książeczka pod tytułem powyższym. W ten sposób przybywa jeszcze jeden numer do bibliografji m. Wilna, liczącej dzieła Kraszewskiego, Balińskiego i Kirkora i nowsze — Zahorskiego, Studnickiego, Romer-Ochenkowską, Rydla, Janowskiego.

Bez wątpienia sytuacja polityczna chwili obecnej podsunęła prof. H. Mościckiemu myśl skreślenia charakterystyki Wilna w tym zamiarze, by spopularyzować jego polskość. Tendencja polityczna chociaż widoczna, nie jest wszakże zbyt jaskrawą. Zawód naukowy i może takt wrodzony ustrzegły prof. Mościckiego przed stworzeniem jakiegoś elaboratu agitacyjnego w modnym dziś stylu p. Jana Obsta.

Omawiana książeczka w szeregu rozdziałów, zatytułowanych „*Dzieje miasta*”, zawiera zwięzły i barwny opis przeszłości Wilna, począwszy od legendarnej, a kończąc na chwili bieżącej.

Nowych poglądów w tej dziedzinie nie znajdujemy.

Drugi rozdział pracy poświęcony jest *Pięknemu Wilna*. Nie znając zapewne bliższych i dalszych okolic Wilna, autor utrzymuje, że stanowi ono „plamę” (str. 46) na tle typów litewskiego krajobrazu. Być może, stojąc na szczyrach piaskach mazowieckich, Wilno tworzyłoby istotnie plamę ze względu na kon'rast kolorytu, jednak na tle *kraju* pagórków

leśnych nie jest nią wcale, jako doskonale zharmonizowane z malowniczością Kowna, urwistych brzegów Niemna pod Grodnem, Nowogródka, Krewa. Odczuwamy pewną przesadę, gdy p. Mościcki nawet w „brudnych, koszlawych zaułkach” (str. 48), Wilna widzi przywartą doń „duszę polskiej tradycji i żalosań tęsknicę polskiego tutaj sieroctwa”. Nam się zdaje, że należałoby tu uczynić ustępstwo, choć częściowe Żydom i powiedzieć, że do najtypowszych może zaułków dawnego Wilna również mocno przywarła biedna, znękana i zahukana dusza żydowskiego ghetto. *Suum cuique*.

Wzmianka na str. 61 o kościele św. Michała, będącym rzekomo jeszcze w stanie odbudowy, jest anachronizmem lub dowodem dużo wcześniejszej daty opracowania niniejszego dziełka. Czy istotnie w murach po-bazylijskich dokonana się „kaźń” Szymona Konarskiego? (str. 64). Niepotrzebnie też figuruje tu raz na zawsze pogrzebana, endecka legenda o zbezczeszczeniu „celi Konrada” (str. 65).

Masowe u nas apostazje podczas reformacji podają w wątpliwość *trwałość* rychłego nawrócenia kraju, o k'órem autor napomyka w rozdziale *Kulturalna godność Wilna* (str. 68). Nie łatwo się zgodzić z opinią autora, że Unja Lubelska miała przyczynić się do „demokratyzacji społeczeństwa litewskiego”? (str. 69). Ktoby się tego po niej spodziewał?

Drugą część „*Wilna*” stanowi kilkadziesiąt zdjęć naszego miasta, dokonanych przez artystę-fotografa J. Bułhaka. Okładkę zdobi winjeta w stylu baroku wileńskiego, wykonana przez F. Ruszczyca.

m.

Treść numeru: Punkt wyjścia. — *J. Baudouin de Courtenay*. Naród „panujący” a narody „pod dane”. — *Sonderling*. Czy są dziś czyste typy narodowe? — *Erka*. Wolna Trybuna. — Wilno jako „rozdroże ludów”. — *Licz*. Z mego notatnika. — Sprawa Wileńszczyzny na gruncie międzynarodowym. — Bibliografia.

ANTYKWARIAT NAUKOWY

przy Księgarni Stowarz. Nauczyc. Polskiego (dawn. „Kultura“)

UL. WILEŃSKA 36.

Kupuje i sprzedaje

KSIĄŻKI, RĘKOPISY, RYCINY.